

„Dazed and Confused”, czyli oszołomienie i zmieszanie — Quentin

Od autora: Cześć,

po długiej nieobecności wracam w nowym formacie.

Zamierzam co jakiś czas uraczyć was swoimi przemyśleniami na temat filmów, czyli mojej wielkiej pasji. Poniżej wklejam krótką informację, którą będę umieszczał przed każdym tekstem, aby uniknąć nieporozumień. A zatem zaczynamy.

*****Szanowni portalowicze.

Tekst, który przyjdzie wam czytać, nie jest sensu stricto recenzją. Potraktujcie to jako ostrzeżenie, gdyż w żadnej porządnej recenzji nie powinny znaleźć się tzw. spoilery, czyli informacje zdradzające zakończenie filmu lub takie szczegóły fabuły, których uprzednie poznanie, może znacząco ograniczyć przyjemność płynącą z seansu. Tekst zawiera lub może zawierać elementy recenzji, jednak lwią część treści wypełniają osobiste przemyślenia i odczucia autora. Zatem jeśli wszystko między nami jasne, zapraszam do lektury i dzielenia się własnymi opiniami w komentarzach.

„Dazed and Confused”, czyli oszołomienie i zmieszanie

Chciałbym, żebyście w duchu zastanowili się nad swoimi ulubionymi filmami, a właściwie, żebyście zastanowili się nad tym, o czym owe filmy są. I nie, wcale nie chodzi mi o fabułę. Jedna osoba opisze „Titanica” jako historię katastrofy legendarnego transatlantyku, a druga z łezką w oku przypomni sobie ostatnią scenę, gdy leciwa już Rose odpływa w ramiona Morfeusza, marząc o Jacku Dawsonie, czyli prawdopodobnie o największej miłości swojego życia. Bo „Titanic” to tak naprawdę film o miłości; krótkiej, ale za to bardzo intensywnej i naznaczonej tragedią. Zostawmy jednak film Camerona w spokoju.

Można by zaryzykować tezę, że każdy film o czymś próbuje nam opowiedzieć. Jedne produkcje są w tym mniej dosłowne, inne bardziej. Tak czy inaczej każdemu twórcy z założenia o coś chodzi i często od nas samych (jako widzów, rzecz jasna) zależy, czy dotrzemy do znaczeniowego jądra.

A teraz wyobraźcie sobie, że są filmy, które nie niosą ze sobą prawie żadnego przesłania. Nie brzmi to zbyt zachęcająco, zwłaszcza przed seansem, ale wcale nie oznacza to, że film bez przesłania, idei, czy jasno wyznaczonego zamiaru względem widza, zawsze jest płytkim gniotem.

W 1993 Richard Linklater nakręcił „Dazed and Confused” – film, który moim zdaniem opowiada o niczym. I nie poświęcałbym temu zbyt wiele uwagi, gdyby nie fakt, że niemal z miejsca obraz Linklatera stał się jednym z moich ulubionych tytułów.

Pokrótce: „Dazed and Confused”, funkcjonujący również w Polsce pod tytułem „Uczniowska balanga”, opowiada perypetie nastolatków z małego miasteczka w Stanach. Dzieciaki mają powód do radochy, bo właśnie zaczynają wakacje. No, może te młodsze dzieciaki cieszą się nieco mniej, gdyż zgodnie z tradycją ostatniego dnia zajęć szkolna starszyzna daje im nieźle popalić.

Akcja filmu ma miejsce w latach siedemdziesiątych, o czym świadczą charakterystyczne fryzury i ubiory dzieci kwiatów. Beztroska wprost wylewa się z ekranu, dzięki czemu trudno nie ulec ogólnej atmosferze

wyluzowania. Wystarczy spojrzeć tylko na postać Davida Woodersona, w którą brawurowo wciela się Matthew McConaughey. Jego styl bycia, sposób poruszania się, mówienia... wszystko to razem tworzy nieomal żywy pomnik różowych lat siedemdziesiątych. Nic tylko podziwiać.

Sama fabuła to właściwie chodzenie z jednego miejsca w drugie, rozmawianie, żarty, nastoletnie pseudomądrości. Autorem scenariusza jest sam Linklater, choć ciężko pozbyć się wrażenia, że aktorzy sporo improwizują. Jeśli w ogóle można wskazać głównego bohatera filmu, jest nim Pink. O Pinku wiemy tyle, że ma dziewczynę, ale nie przeszkadza mu to, by flirtować ze znajomą koleżanką imieniem Jodi. Pink ponadto jest szkolnym futbolistą, przed którym, wydaje się, że kariera zawodowca stoi otworem. Największe nadzieje wiąże z tym jego trener, choć sam Pink woli po prostu miło spędzać czas.

Właściwie, gdybym na siłę doszukiwał się przesłania w „Uczniowskiej balandze”, zwróciłbym uwagę na ten moment, gdy Pink odmawia trenerowi podpisania tzw. lojalki. Wcześniej trener wygłosił coś w rodzaju motywacyjnej mowy w stylu: „zostaw swoich kumpli nieudaczników i pomyśl o przyszłości, bo jako jedyny masz wiele do stracenia”. Jako się rzekło Pink odmówił, gdyż wolał spędzić lato w towarzystwie znajomych nieudaczników, a do tego myślami był już przy zbliżającym się koncercie Aerosmith.

W warstwie znaczeniowej sprzeciw Pinka można potraktować jako rozwiązanie podstawowego konfliktu. Chłopak dostaje lojalkę już na początku filmu, a potem co jakiś czas temat powraca i tak aż do finału. Widz zastanawia się: podpisze czy nie, aż ostatecznie Pink stawia na swoim, czyli wybiera przyjaźń i dobrą zabawę. Taki wybór daje widzowi poczucie satysfakcji, w końcu coś może być ważniejsze od przyjaźni, prawda? Sęk w tym, że być może w ten sposób Pink przekreślił swoją przyszłość, ale tego Linklater już nie wyjaśnia, dzięki czemu możemy zastanawiać się w nieskończoność.

Bohaterowie filmu w ogóle nie zamierzają odmawiać sobie przyjemności płynącej z młodzieńczej, wakacyjnej beztroski. Z lubością oddają się wygłupom, starsi dają w kość młodszym, młodszy dokonują srogiej zemsty na starszych, jest klasyka amerykańskich filmów w postaci zabawy polegającej na niszczeniu skrzynek pocztowych, są szczeniackie miłości i pierwsze zauroczenia, a wszystko to odbywa się w oparach zioła i w akompaniamencie syknięć otwieranych puszek z piwem.

Jest też, a jakże, wspaniała muzyka. Na ścieżce dźwiękowej do filmu znalazły się takie ikony jak Aerosmith, ZZ Top, Nazareth, War, Alice Cooper, Deep Purple czy Kiss. Dla wielbicieli epoki i dinozaurów rocka to gwarancja dobrej zabawy, przynajmniej dla ucha. Sam tytuł oryginalny „Dazed and Confused” to nawiązanie do jednego z utworów legendarnej grupy Led Zeppelin. Zgodnie z doniesieniami kilku źródeł, Zeppelini nie byli jednomyślni w sprawie zgody na wykorzystanie części ich dyskografii na potrzeby filmu, dlatego też utwór tytułowy nie znalazł się w soundtracku. Szkoda, ale tytuł przynajmniej pozostał, a to dla fana Zeppelinów już coś. Możecie mi wierzyć na słowo.

Kino mainstreamowe ma to do siebie, że nie musi być mądre i „Dazed and Confused” mądre nie jest. Nie znaczy to wcale, że jest głupie. Nic z tych rzeczy. Chodzi o to, że obraz Linklatera nie nauczy nas jak żyć, raczej nie przewartościuje naszego światopoglądu, nie sprawi, że dotkniemy delikatnej materii zwanej sensem istnienia. 103 minuty seansu pozwolą nam się jednak w pełni zrelaksować, pod warunkiem, że nic nie rozproszy unoszącej się wokoło atmosfery, o którą twórcy naprawdę zadbali z pieczołowitością. Dla wielu ludzi na świecie „Dazed and Confused” nosi miano filmu kultowego. Sami twórcy i odtwórcy ról zbierali się kilkakrotnie przy okazji rocznicowych spotkań, podtrzymując pamięć o tym małym artystycznym cudeńku.

Pozwólcie, że zajmę wam jeszcze chwilę. Swego czasu popełniłem na portalu opowiadanie pod tytułem „Cały nasz świat”. Napisałem dwie części, choć zakładałem, że całość wyniesie pięć lub sześć epizodów. Dziś to już nieważne, bo na zamyśle raczej się skończyło, choć może kiedyś do tego wrócę.

W każdym razie w pierwszej części główny bohater mojej historii decyduje się targnąć na własne życie, a w ramach pożegnania funduje sobie seans „Dazed and Confused”. Uprzedzam: nie, ten wyjątkowo pozytywny film nie uratował mu życia.

Podobnie jak ja, tak i mój bohater widział „Dazed and Confused” wiele razy, zawsze bawiąc się przy tym świetnie. Jego ostatni w życiu seans nie pełnił roli psychoterapii, jakiegoś audio-wizualnego antydepresantu, za sprawą którego samotność i rozpacz odpływają w siną dal. Ani trochę. Film stał się czymś w rodzaju utwierdzenia w przekonaniu, że absolutne szczęście osiągalne jest tylko w wykreowanym świecie. Ameryka lat siedemdziesiątych, dzieciaki nakręcone wizją zbliżających się wakacji, rockowe evergreeny puszczone z samochodowych głośników podczas wesołej podróży o wschodzie słońca, niczym nieskrępowana radość małych wchodzących dopiero w dorosłość. Wszystko to elementy świata przedstawionego. Świata, który naprawdę nie istnieje, a przynajmniej nie dla bohatera, który lada moment wyskoczy przez okno.

Przepraszam, jeśli was zasmuciłem, oszołomiłem lub zmieszałem. Przyznaję, że to dość dziwne, bo przecież od samego początku opowiadam, jak przyjemnym doznaniem jest seans filmu Linklatera, by w finale rozprawić o akcie samozagłady. Myślę, że znajdą się pośród was tacy wrażliwcy, którzy pojmują, jak cienka potrafi być granica oddzielająca szczęście od nieszczęścia. Czasem wystarczy dosłownie mgnienie oka, chwila nieuwagi i spadamy z nieba do piekła. Podejrzewam, że dobrze wiecie, o czym mówię, a jeśli nie, „Dazed and Confused” też wam prawdopodobnie tego nie wytłumaczy, jednak zapewni dobrą zabawę na nieco ponad 100 minut, a to już bardzo dużo.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Quentin, dodano 23.08.2023 15:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.